

Wspomnienie o Andrzeju Olszewskim

Autor tekstu: **Stanisław Pietrzyk**

Ktoś bardzo dowcipny powiedział kiedyś, że człowiek mądrzeje z wiekiem, lecz zwykle jest to wieko od trumny. Pewnie to prawda, bo w miarę dobry przepis na życie mamy wtedy, kiedy ten przepis można pogrzebać razem z nami. Gdyby ta refleksja dopadła mnie parę lat temu, pewnie coś bym notował choć wiem, że marny ze mnie skryba. Ale spróbuję, na ile mi pamięć pozwoli (podobno mam fenomenalną, lecz to opinia ludzi podobnych do gościa, który nie wiedział dokładnie, czy dostał kulkami między łopatki czy łopatkami między kulki). W każdym razie, o ile dobrze pamiętam, było tak.

Jesień, chyba koniec września albo początek października 2005 roku. Wybrałem się do siedziby Uraeusa na ul. Cechowej z maszynopisem mojej krytyki Biblii, mając cichą nadzieję, że „a nóż widelec” uda się te moje przemyślenia wydać w formie książki (fragment zatytułowany „Zoologia biblijna” opublikował portal „Racjonalista”). Andrzej spojrzał na mnie (przypomniałem mu, że kiedyś, jeszcze na Hetmańskiej, odbierałem pracę magisterską mojej córki Joanny o alfabecie z Ugarit, którą chciała wydać w formie książki, lecz jej tematyka odbiegała od profilu wydawnictwa) i zaprosił do biura. Rozmawialiśmy jakieś dwie godziny (straszny gaduła ze mnie, z Niego zresztą też) po czym zaproponował mi, abyśmy pogłędzili jeszcze następnego dnia. Na odchodne podarował mi „Kler” E. Drewermana. Tak zaczęła się moja znajomość z Andrzejem, która trwała do końca, czyli do jego tragicznej śmierci. Dla każdego, kto znał bliżej Andrzeja, jest rzeczą oczywistą, że był człowiekiem niesłychanie taktownym, skromnym i życzliwym (miałem zawsze wrażenie jakby przeproszał, że żyje), jednocześnie zagubionym w gąszczu rozmaitych problemów, które w sposób znaczący utrudniały normalne funkcjonowanie wydawnictwa. Właściwie to już nie było wydawnictwo we właściwym tego słowa znaczeniu. To były jakieś resztki po tym, czym był kiedyś URAEUS (jednym z jego założycieli, chyba głównym, był Brat Andrzeja Jacek — chirurg naczyniowy, jeden z lepszych, tak słyszałem, w Polsce przedstawicieli tej profesji). Jak sam ciągle podkreślał, lata świetności skończyły się wraz ze śmiercią ukochanej żony Danuty. I od tego momentu URAEUS był już faktycznie tylko muzeum wspomnień i istniał tylko po to, by jeszcze jakoś kontynuować to, co było kiedyś jego (ich) marzeniem. Ale do tego potrzeba kogoś, kto ma zdolności menadżerskie, kto potrafi na chłodno kalkulować i „rozpychać się łokciami”. Andrzej był zbyt wrażliwy, on tego nie potrafił. Ja mam podobny charakter, więc pewnie dlatego tak dobrze się rozumieliśmy. Żałuję, że nie namalowałem portretu Jego ukochanej Żony, o co mnie kiedyś prosił. Każdy wolny czas spędzałem z Andrzejem pomagając Mu w miarę swoich możliwości. Ponieważ pracuję w systemie zmianowym w ruchu ciągłym (w Stoczni Marynarki Wojennej), dysponowałem dużą ilością wolnego czasu. Praktycznie 4 lub 5 dni w tygodniu (po kilka godzin dziennie) spędzałem w URAEUSIE. Zazwyczaj każdy dzień wyglądał tak: cześć Andrzej! Cześć Stasiuniu, czasami Stasięku (tak do mnie mówił). Dalej trochę o samopoczuciu (zawsze miał złe, czemu się nie dziwię), potem ja sypnąłem Mu parę kawałów (żeby się trochę pośmiał). Dalej już telefony, zamówienia, przygotowanie paczek do wysyłki. No i na pocztę. Czasami objuczeni jak wielbłądy. Wprawdzie niedaleko, ale trzeba było te paczki jakoś donieść (nie miałem wtedy samochodu, Andrzej też). Zdarzyło się, że niosąc dwie ciężkie torby z paczkami (razem ok. 45 kg) Andrzej się potknął (trafił na dziurę, która w chodniku nie powinna istnieć, ale dziury mają to do siebie, że są akurat tam, gdzie nie powinny) i przewrócił. Efekt — skręcona kostka i zadrapanie wewnętrzne strony obu dłoni. Niby nic takiego. Jednak frustrujące „jak diabli”. Szef unikalnego wydawnictwa, laureat nagrody Roberta Mächlera nosi paczki na pocztę. Bo czytelnicy chcą książki. Fajnie, że chcą. I fajnie, że są czytelnicy tych książek. Wiele razy telefonicznie lub listownie deklarowali wsparcie dla wydawnictwa, zakładanie jakichś fundacji dla ratowania URAEUSA i podobnych inicjatyw i... I tyle. Na tym się kończyło. Byli też tacy, którzy zamawiając książki zapewniali o swojej sympatii dla wydawnictwa, psiocząc i klnąc na system, który „niszczy takie unikalne wydawnictwo”. I, co mnie coraz mniej dziwi, to właśnie takie indywidua zamawiały książki (często na pokaźne kwoty) nie mając zamiaru za nie płacić. Jeszcze na ul. Cechowej, czyli w miejscu, dokąd z Hetmańskiej przeniósł się marniejący z dnia na dzień Uraeus, była jakaś nadzieja na reanimację. Słaba i blada jak cera anemika, ale jakaś. Czasem jeszcze ktoś pomógł, jak choćby mój młodszy brat, Wojciech, który parę razy woził paczki z książkami (kiedy ja nie mogłem) lub robił za „pogotowie pc”, bo prosił o to Andrzej, kiedy jego komputer odmawiał posłuszeństwa. Widać poznał się na jego „zdolnościach reanimacyjnych” — przynajmniej w kwestii bytów elektronicznych.

Z czasem, z miesiąca na miesiąc, beznadzieja jawiła się coraz wyraźniej. Zaległości w opłatach (głównie za wynajem lokalu) rosły, wpływy ze sprzedaży malały i sytuacja ta coraz bardziej

pogłębiała już i tak tragiczną sytuację. Doszło do tego, że właściciel wynajmowanego przez Andrzeja lokalu postawił ultimatum: albo spłacisz zaległości za wynajem, albo szukaj innego lokum. Pożyczyłem część pieniędzy (wziąłem kredyt, o którym nie wiedziała moja żona, a kiedy się dowiedziała, długo miałem co słuchać) i na parę miesięcy widmo eksmisji oddaliło się. Ale, jak wiadomo, co się odwlecze, to nie uciecze. I tak wkrótce trzeba było się spakować i poszukać czegoś nowego. Przeprowadzka w nowe miejsce odbywała się w gorączkowej atmosferze i była na tyle chaotyczna, że gdzieś poginęło sporo dokumentów, pamiątek i książek. Ile, jakich — dokładnie nie wiadomo. Nową siedzibą Uraeusa stały się pomieszczenia gospodarcze w zespole szkół (Gimnazjum i Liceum) w Gdyni przy ul. Płk. S. Dąbka. Troszkę więcej spokoju, bo i opłata za wynajem niższa, osobne wejście a na pocztę z górki, po schodach. Odległość porównywalna, no może parę kroków dalej. Ale wkrótce i tam dotarły stare problemy. One jak Urząd Skarbowy, przed nimi uciec nie sposób. Przez jakiś czas się jakoś toczyło, czy kulało, siłą inercji. Ci, którzy znali wydawnictwo i korzystali z możliwości zakupu książek bez marży handlowej, dopytywali ciągle o VI tom „Kryminalnej Historii Chrześcijaństwa”. Wielokrotnie w ciągu każdego dnia Andrzej zapewniał zainteresowanych, że już wkrótce albo jeszcze wcześniej, za miesiąc, może dwa, bo są trudności — wiadomo, mamy pod górkę, kłody pod nogami itd., itp..

Podczas wizyt JPPII w Polsce, wszystkie tytuły „Uraeusa” (te krytykujące religie) były chowane (czasami „zapominano” je wyjąć po wizycie, co zaczęło być regułą i nawet w EMPIKu, na moje pytanie co z książkami Deschnera, odsyłano mnie tam, gdzie trudno za życia trafić i pewnie większość nie chce). Zastanawiałem się często, czy jest sens pomagać Andrzejowi. I wychodziło (jak radziłem się tych ekonomicznych komórek mózgowych, które u mnie są w formie szczątkowej), że nie bardzo. Żałuję, że w ostatnich chwilach życia Andrzeja, wtedy, kiedy potrzebował kogoś obok — koło siebie — mnie nie było. Dlaczego? W końcu sierpnia 2006 r. byłem u brata w Szwecji. Kiedy wróciłem, u Andrzeja w biurze leżał sobie kwestionariusz, który miałem wypełnić. Miałem iść do szkoły, aby wreszcie mieć średnie wykształcenie. Zostawił go Leszek Radochoński — mój serdeczny kolega z antyklerykalnej partii Racja i , tak się złożyło, nauczyciel przedmiotów elektrotechnicznych w Technikum koło Stoczni Marynarki Wojennej (jako namiętny czytelnik książek z Uraeusa chciał, abym skontaktowałem go z Andrzejem, co zrobiłem). Było mi po drodze do pracy, więc zgodziłem się (Andrzej nalegał), choć, znając swój słomiany zapal, nie wiedziałem jak mam przetrwać 3 lata. Tych, którzy nie mają dyplomów i świadectw, traktuje się jak ludzi z niższej półki, choćby mieli wiedzę na najwyższym poziomie. Nie mam takiej, więc zgodziłem się i zacząłem edukację. Andrzej wspierał mnie i wzmacniał moje ego tłumacząc, że brak świadectw nie świadczy o niewiedzy, jednak warto je mieć. I tak się kulało, od poniedziałku do piątku. W weekendy Andrzeja nie było. To znaczy był, ale niedostępny (czasami telefonował, kiedy samotność go molestowała na tyle, że nie mógł sobie z nią poradzić). Przeważnie mówił (nie chcąc nikomu sprawiać kłopotu swoimi problemami), że jest z kimś umówiony, gdzieś jedzie, z kimś ma się spotkać i dlatego nie może skorzystać z zaproszenia. To jego wersja. Zawsze, lub prawie zawsze, był w domu. Ze swoimi kotkami. Śliczne kotki, ale nie miały na niego wpływu. Czasami chyba próbowały mieć (a to jakiś wazonik, czy coś, co spadając robi trochę zamieszania), bo Andrzej to odczuwał. Twierdził, że szukają z nim kontaktu, że chyba chcą mu pomóc. Miał rację. Kocham zwierczaki, jak i on kochał, i wiem, że one odwzajemniają się szukając kontaktu z domownikami.

Byłem u Niego (na Witominie) trzy razy. Dwa koteczki plątały się pod nogami tylko przez chwilę, po czym zajęły swoje ulubione miejsca. One były jak Andrzej. Ciche, spokojne, taktowne i ufne. Akceptowały tych, których pozwalał akceptować ich koci instynkt. Andrzej akceptował wszystkich. One — nie zawsze. Często rano czekałem na Andrzeja. Ostatnie miesiące to pytania: masz coś? Jakies środki, bym mógł zasnąć i już nigdy się nie obudzić. Nie miałem i nie miałem zamiaru mieć. Zazwyczaj obracałem to w żart, ale czułem, że on nie żartuje. Mój znajomy lekarz (Witold Dębowski) miał mu aplikować leki, które złagodziłyby stany depresyjne (od śmierci żony cały czas jakieś zażywał). Ale, jak wiadomo, im dalej w las, tym więcej drzew. Każdy lek po czasie traci moc, bo organizm się uodparnia. Więc trzeba coś nowego, silniejszego. Ten lekarz próbował aplikować leki, zamieniając stare, które już nie spełniały swej roli na inne, które mogłyby Mu pomóc złagodzić stany depresyjne nie wywołując jednocześnie potrzeby zwiększania dawek samemu, bez konsultacji medycznej. Nic to jednak nie dało. Spóźniliśmy się wszyscy. Albo może on wszystkich wyprzedził.

Ale jeszcze trochę wcześniej, w 2007 roku, kiedy Andrzej zaprosił K. Deschnera do wizyty w siedzibie Uraeusa (K. Deschner wraz z G. Roewer byli na Mazurach, które K. Deschner darzył szczególnym sentymentem i w drodze powrotnej obiecał odwiedzić wydawnictwo), miałem wrażenie, że ma twardy grunt. Kiedy powiedział mi, że sam mam decydować, kogo zaprosić, co zrobić i czym poczęstować, nie miałem zielonego pojęcia, jak to ma wyglądać. Ale mam syna, który zrealizuje

każde zamówienie i „wyczaruje” tort marzeń (plastyk, pracuje w „Delicjach” w Gdyni). Poprosiłem i syn (Sebastian) zrobił dzieło, którego nawet K. Deschner nie chciał ruszyć. Tort w kształcie pierwszego tomu "Kryminalnej Historii Chrześcijaństwa", z perfekcyjnym odwzorowaniem grafiki zamieszczonej na obwolucie. Spotkanie z K. Deschnerem miało być jak najbardziej kameralne, w niewielkim gronie, bo tak chciał K. Deschner. Zaprosiłem więc lekarza, Witka Dębowskiego, Leszka Radochońskiego i Ziemowita Bujko (obaj z partii Racja). Długie oczekiwanie (jak zawsze, kiedy się czeka, czas się wlecze niemiłosiernie) i ... Wreszcie. Kwiatki na powitanie, uściski dłoni, atmosfera jeszcze dość sztywna i oficjalna, ale już po paru minutach znacznie się rozluźniła i stała się bardzo sympatyczna i przyjacielska. Dalej wspólne fotografie, wymiana adresów itp.. Ale wszystko co dobre, szybko się kończy. Na koniec, czekając na taksówkę, która miała zawieźć dostojnych gości do hotelu w Sopocie, Gabriele Roewer pstryknęła ostatnią fotkę przed wejściem do zespołu szkół (gdzie Andrzej wynajmował pomieszczenia). I tak zakończyło się spotkanie, którego z pewnością nikt z nas, uczestników, nie zapomni do końca życia. Byliśmy jednymi z niewielu, którzy mieli okazję osobiście poznać współczesnego Woltera. Za to jesteśmy Andrzejowi niezmiernie wdzięczni, bo to z jego inicjatywy doszło do tego spotkania.

Dwa dni przed jego tragiczną śmiercią zatelefonował do mnie i umówił się na piątek (czyli 19.06.2009) w celu wysłania książek. Mówił mi, że jest w Inowrocławiu w drukarni i załatwia kolejne dodruki brakujących tytułów. Dopiero na pogrzebie dowiedziałem się od jego sąsiadki (która też pracowała w wydawnictwie a dodatkowo od "hetmańskich czasów" i po śmierci żony a później i mamy, starała się o kondycję Andrzeja, szczególnie fizyczną), że nigdzie nie wyjeżdżał i cały czas był w domu. Piątek 19. czerwca, to dla mnie traumatyczna data. Przed południem zadzwoniła moja komórka. Byłem w domu i myślałem, że to Andrzej dzwoni. Jednak dzwonił jego brat, Jacek. Znałem Go tylko z opowiadań Andrzeja. Ponieważ mój numer telefonu był jednym z ostatnich, jakie widniały w historii połączeń w komórce Andrzeja a moje zamiary były w wielu Jego zapiskach, więc to najpierw do mnie zatelefonował Jego brat, Jacek. To, co usłyszałem, zelektryzowało mnie. Nigdy tego nie zapomnę. Choć wiedziałem w jakim stanie jest Andrzej, nie dopuszczałem do siebie myśli, że to, co w ostatnim czasie często powtarzał, stanie się faktem. Może gdybym poważnie traktował to, co mówił, można by było jakoś temu zaradzić. Moja żona ciągle powtarza, że można było Mu pomóc i nie dopuścić do tragedii (pracuje od dawna w MOPS-ie i twierdzi, że było wiele możliwości, by Mu pomóc). Nie wiem, może, ale On już chyba miał wszystkiego dosyć.

W ostatnich miesiącach przed Jego tragiczną decyzją chyba tylko jeden raz dał się namówić na wyskok na piwo. Namówił Go Witek Dębowski i to jedyny człowiek, który zdążył z Nim się napić piwa przed Jego śmiercią. Jeszcze nieco wcześniej miałem nadzieję, że wszystko idzie ku lepszemu. Wizyty szefów drukarni (m.in. z Inowrocławia), kilka razy Mariusza Agnosiewicza z portalu „Racjonalista”, z którym od dłuższego czasu istniała współpraca, a także wielu właścicieli księgarni, którzy na „tanią książkę” za przysłowiową złotówkę brali całe paczki książek, których wartość była zdecydowanie większa, gdzie „zdecydowanie” jest czystym eufemizmem. W krytycznych sytuacjach „tonący brzytwy się chwyta”. Kiedy po śmierci Andrzeja razem z Jego bratem Jackiem i synem Patrykiem, o którym zawsze mówił w samych superlatywach i często ze łzami w oczach (stracił palec z powodów znanych sobie — mówił mi, ale nie pamiętam, jakieś gniazdo elektryczne itd.), byliśmy w pomieszczeniach wydawnictwa, miałem wrażenie, że sporo paczek brakuje. Brakowało. Gdzie się podziały? No właśnie. Nie wiem i już nawet nie chcę wiedzieć. Chciałbym zapamiętać Andrzeja tak, jak Go widziałem. Bez tych rozmaitych presji finansowych. Brak mi Go. Do tej pory nie mogę się pozbierać. Jednak chyba poradzę sobie i żyć będę aż do śmierci (nie mam innego wyjścia).

Zobacz także te strony:

[Epitafium dla Uraeusa](#)

Stanisław Pietrzyk

Ur. 1954. Malarz, działacz polityczny z Trójmiasta.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 19-03-2010)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7207) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7207>)

Contents Copyright © 2000-2010 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2010 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl